

Człowiek w płaszczu

Miał chyba około pięćdziesiątki.

Wysoki postawny mężczyzna o łagodnej, inteligentnej twarzy.

Chodził w długim ceratowym płaszczu – nosiło się takie w latach 60. Ale płaszcz był mocno znoszony, a w kilku miejscach połatany...

Wiedzieliśmy, że pił.

Ale nie trzymał się z grupkami stale podchmielonych, hałaśliwych i agresywnych osobników, którzy kręcili się po naszej dzielnicy. Wyraźnie od nich stronił, a oni jakby czuli przed nim respekt. Czasami tylko wołali do niego: „Cześć, inżynier!...”

Potem dowiedzieliśmy się, że to nie była jego ksywa; naprawdę był inżynierem. I to wziętym specjalistą budowy dróg i mostów.

Wtedy inaczej się nosił. I miał żonę, którą podobno kochał ponad wszystko.

Nie mieli problemów finansowych, mogli sobie pozwolić na wiele. Szczęście mącił tylko fakt, że nie mieli dzieci...

A potem strzelił piorun, i wszystko się zawaliło! Żona odeszła z innym mężczyzną...

Podobno podejmował różne próby, aby ją odzyskać... Potem długo czekał...

A potem stracił całą nadzieję. Zaczął się zaniedbywać w pracy, a w końcu ją porzucił. Zaczął pić.

Najpierw kulturalnie, w dobrych lokalach, ale kiedy wyczerpała się gotówka, a z domu znikły co cenniejsze bibeloty – zredukował swe wymagania i obniżył poziom... Ale, wzorem drobnych pijaczków – nie wystawał pod budką z piwem, nie raczył się <jabolem> pitym <z gwinta> na ławce w parku; pił samotnie w domu...

Potem jednak coś się stało z tym jego domem, i podobno zamieszkał w

jakiejś walącej się ruderze.

Ale wciąż trzymał się samotnie...

Widzieliśmy go od czasu do czasu na ulicy – charakterystyczna, teraz już lekko przygarbiona postać, okryta ceratowym płaszczem...

Czasami prosił o pomoc.

Nie, nie o gotówkę. Chciał zarobić kilka groszy, proponował swoją pomoc przy pracach w ogrodzie, Któregoś dnia chciał nam sprzedać jakiś drobiazg – nawet już nie pamiętam, co to było...

Potem wyprowadziliśmy się z tamtej dzielnicy i straciliśmy go z oczu.

Któregoś dnia, idąc cmentarną alejką, natrafiłem na pogrzeb.

Zaledwie kilka osób otaczało wykopany grób. Wśród nich ksiądz, który pośpiesznie i niewyraźnie wypowiadał jakieś słowa, a potem szybko zniknął.

W tym momencie uświadomiłem sobie, że obok mogiły stoją sami mężczyźni. Zmięta, zniszczone twarze, smutne oczy, w dłoniach zmięte czapki. Obrządek się skończył, a oni jeszcze stali w milczeniu...

Podszedłem i zapytałem stojącego najbliżej, kogo odprowadzili.

– „Znajomego, usłyszałem. To taki jeden... inżynier...”

Tak, to był on. Powiedzieli mi, że zmarł nagle na ulicy: „Pewnie serce...?”

Tak potoczyło się i skończyło życie, które mogło wyglądać zupełnie inaczej.

Ten przypadek można zakwalifikować szybko i prosto: tak kończą pijacy!

Może jednak warto pomyśleć o przyczynach: o zawiedzionej miłości i odrzuceniu, o upokorzeniu i codziennym bólu serca... A także o tym, jak słaby i zagubiony jest człowiek, nawet bardzo szlachetny i mądry, któremu świat zawalił się na głowę, i który stracił wszelką nadzieję!...

I jeszcze jedna myśl, od której chrześcijanin nie może uciec: **Czy można**

mu bylo pomóc?

